

# ZABIJANIE SŁOWA

**O CENZURZE W PRL Z ALEKSANDREM PAWLICKIM, TOMASZEM STRZEMBOSZEM I WIESŁAWEM WŁADYKĄ ROZMAWIAJĄ WŁADYSŁAW BUŁHAK I BARBARA POLAK**

B.P. – Tytułem wstępu przytoczę historię, którą usłyszałam od mojego znajomego w Moskwie o jego ojcu. To był ciężko chory człowiek, inwalida, od wielu lat leczony z powodu choroby psychicznej. Choroba zaczęła się, jak twierdzi rodzina, w momencie, kiedy po śmierci Stalina on się przeraził, że jego wewnętrzna radość z tego powodu jest tak widoczna na jego twarzy i spojrzeniu, że bał się wyjść na ulicę. To była taka psychoza lękowa, która się utrwaliła. To jest przykład najstraszniejszej, wewnętrznej cenzury, kiedy człowiek usiłuje cenzurować swoje myśli i uczucia. Ale przedmiotem naszej dzisiejszej rozmowy jest przede wszystkim działanie cenzury w PRL, która przejawiała się praktycznie we wszystkich dziedzinach życia.

W.B. – W ślad za moją koleżanką proponuję, abyśmy dyskutowali o cenzurze w pojęciu możliwie szerokim. A zatem nie tylko o działaniach Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, ale także o ludziach, instytucjach, obyczajach społecznych, które krępowały wolność wypowiedzi w epoce PRL.

T.S. – Cechą zasadniczą cenzury była jej wszechogarnialność. Cenzurowano absolutnie wszystko. Zaproszenia ślubne i nekrologi (w których już po 1956 r. przez wiele lat nie można było napisać, że zmarły był żołnierzem Armii Krajowej. Obowiązywała formuła „członek ruchu oporu”), programy telewizyjne, prace naukowe i literaturę piękną. Cenzura obejmowała zakaz pisania o pewnych ludziach, nie wolno było wspominać o niektórych książkach czy wydawnictwach, obejmowała całe sfery tematyczne i poszczególne kwestie. To spowodowało zniknięcie pewnych obszarów historii z obiegu społecznego. Dość powiedzieć, że „ścigałem się” z doktorem Jerzym Koweckim, która książka dłużej będzie w cenzurze, czy tekst Konstytucji 3 Maja w jego opracowaniu naukowym, czy moje *Oddziały szturmowe konspiracyjnej Warszawy*. Fenomenem było, że konstytucja, z której jesteśmy dumni, o której się pisze w podręcznikach, nie mogła wyjść w opracowaniu naukowym. To, że *Oddziały szturmowe* Strzembosza nie mogły, było bardziej zrozumiałe.

W.B. – Myślę, że dobrze byłoby zarysować genezę tej instytucji w PRL, może nawet sięgając do jakichś wcześniejszych wzorów, do których się odwoływano.

A.P. – Jedno jest pewne: państwowa kontrola nad słowem nie jest wynalazkiem komunistów, znana jest bodaj tak długo, jak długo istnieje

GŁÓWNY URZĄD KONTROLI PRASY,  
PUBLIKACJI I WIDOWISK  
ul. Mysia 5  
skr. pocztowa Nr P-32  
00-950 Warszawa

literatura, przy czym cenzura totalitarna jest jednak jakościowo odmienna od swoich poprzedniczek. Różnicę świetnie uchwycił Pantelejmon Romanow, który już w 1928 r. napisał, że „w dawnych czasach pisarz walczył o swe przekonania. Były one dla niego święte. Rząd był dla niego w pewien sposób obcy i wrogi wolności. Teraz musimy patrzeć na rząd jako na nasz własny. Jakie przekonania ma teraz pisarz? Jeśli mu powiedziano, że jego linia jest »nieodpowiednia«, rumieni się jak uczeń, który popełnił błąd, i jest natychmiast gotowy przepisać wszystko i nazwać białe czarnym, ponieważ jest tak przestraszony. Jesteśmy tak pogrążeni w kłamstwie, że boimy się nawet jeden drugiego”.

### **W.B. – Na czym wobec tego polegała różnica między cenzurą „tradycyjną” a totalitarną?**

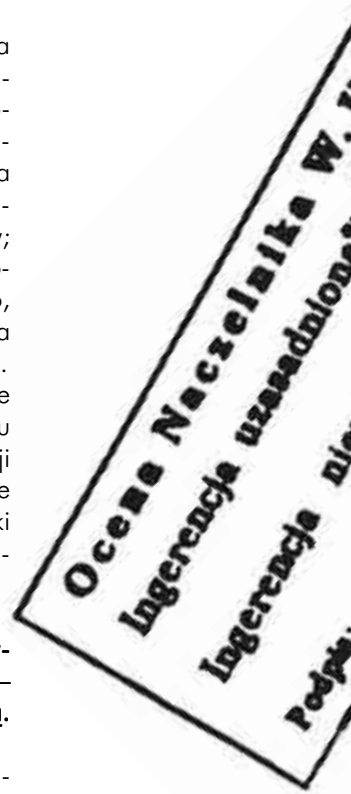
**A.P.** – Cenzura nowożytna odbiera autorowi głos – cenzura totalitarna duszę (choć nazwy sugerowałyby sytuację odwrotną, bo to cenzura w zaborze pruskim z początkiem XIX wieku zwie się ambitnie Wydziałem Pomnażania Ducha Publicznego); cenzura nowożytna to cenzura dokonywana raczej po publikacji, cenzura totalitarna to przede wszystkim cenzura prewencyjna; cenzura nowożytna ma do dyspozycji niewielki aparat urzędniczy, cenzura totalitarna jest częścią omnipotentnego aparatu przemocy; cenzura nowożytna ściga przede wszystkim tych, co godzą w autorytet monarchy i religię, a cenzura totalitarna stara się poddać kontroli wszystko, cokolwiek zaistnieje w sferze publicznej; wreszcie – cenzura nowożytna podlega prawu, a cenzura totalitarna wzgląd na prawo nie ogranicza.

Szwejkowi wytoczono proces za to, że oświadczył, iż „ma w dupie Najjaśniejszego Pana”. Adwokat próbował zmienić klasyfikację czynu z obrazy majestatu na „rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji o miejscu pobytu JCM”. Anegdota anegdotą, ale jest faktem, że wiele zdjętych przez austriacką cenzurę tekstów można było poznać dzięki lekturze publikowanych orzeczeń sądowych, gdzie znajdowały się obszerne cytaty z zakwestionowanych artykułów.

### **B.P. – Nawiasem mówiąc, relacje Szwejka z CK urzędnikami niezwykle przypominają relacje obywateli i władz PRL. Postawa Szwejka – chronicznego idioty – chroniła wielu Polaków przed głęboką frustracją.**

**A.P.** – Jest oczywiste, że wymykanie się rygorom ustawy pozwalało komunistom na pełną arbitralność decydowania, ale fakt, że pierwsza z prawdziwego zdarzenia peerelowska ustawa o cenzurze powstała dopiero w roku 1981, tłumaczy się także i na pół jawnym żywotem Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Na przykład w *Encyklopedii Wiedzy o Książce* cenzura usunęła wszystko, cokolwiek dotyczy jej samej, uznając to za zbędną – uwaga! – „popularyzację”.

A zatem, z punktu widzenia struktury prawnej, od początków Peerelu aż do 1981 r. (kiedy uchwalono odpowiednią ustawę) cenzura działała



na podstawie dekretu Krajowej Rady Narodowej z 5 lipca 1946 r. o utworzeniu Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (GUKP-PiW). To jest dokument, który ma pół strony maszynopisu. *Notabene*, gdy dekret ów został wydany, cenzura działała już od dwóch lat (najpierw jako Wydział Cenzury w MBP, potem pod nazwą Centralnego Biura KPPiW, a od listopada 1945 r. już jako Główny Urząd KPPiW). Regulacja z 1946 r. okazuje się rychło kompletnie niewystarczająca, biorąc pod uwagę, jak urząd później się rozbudowuje, jak zwiększa się liczba zadań i zmienia ich charakter i wreszcie jak powstają jego lokalne odnogi. Gdy w końcu lat sześćdziesiątych do urzędów wojewódzkich cenzury wkroczył z kontrolą NIK, to okazało się, że tylko trzy z nich, w Koszalinie, Zielonej Górze i Opolu, mają oficjalne akty erekcyjne, a cała reszta jest nielegalna!

**W.B. – To skądinąd bardzo ciekawe zjawisko, że instytucje kluczowe dla utrzymania władzy przez komunistów działały, opierając się na nader wątpliwych podstawach prawnych. Podobnie było przecież z aparatem bezpieczeństwa. W tym przypadku o odpowiednią ustawę zadbał dopiero gen. Czesław Kiszczak w okresie stanu wojennego.**

**A.P. –** Na jednej z porad cenzorów sam Józef Siemek, prezes urzędu od 1965 r., powiedział, iż „z dokumentów NIK wynika, że jesteśmy nielegalni”. Krótko mówiąc, podstawa prawna była kompletnie nieadekwatna do działań instytucji powołanej na jej mocy. Brakowało też rozporządzeń wykonawczych, na przykład GUKP-PiW otrzymał statut dopiero w 1953 r., ale już w chwili nadania nie był on – powiada Siemek – „przystosowany do wykonywania bieżących zadań”. Dopiero później pojawia się pomysł, żeby napisać ustawę, która by wszystko porządkowała, mówiła, kto za co jest odpowiedzialny itd. Myśli się o tym i dyskutuje już w drugiej połowie lat sześćdziesiątych. W aktach cenzury znajduje się interesująca notatka pochodząca z sekretariatu prezesa GUKP-PiW, która relacjonuje opinie „odnośnych czynników”, to jest odpowiednich przedstawicieli kierownictwa PZPR. Owe „odnośne czynniki” uznały, że dekret jest rzeczywiście fatalny, ale trzeba przy nim pozostać, bo wszelkie próby ustawowej regulacji będą miały negatywne skutki społeczne. Cenzura jest i zarazem jakby jej nie było – ta dwoistość wyraża się na przykład i w tym, że cenzorzy wolą komunikować ingerencje ustnie lub przez telefon, niż utrzymywać swą działalność na papierze.

**W.W. –** Dzieje PRL da się streścić tak (to skrót, ale lubię tę figurę): pierwszy okres – to jest zdobywanie władzy, potem jest próba zdobycia społeczeństwa (to jest ta inwazja w latach pięćdziesiątych, głajchszalt, atak na duszę narodu), a lata sześćdziesiąte – przegrywanie tego społeczeństwa. Wyraźnie widać, że drugi manewr im się nie udaje, po Październiku '56 wszystko się załamuje. Najkrócej mówiąc, Gomułka przegrywa z Wyszyńskim. Ostatni okres – to jest oddawanie władzy. Bardzo wyraźnie

rzutuje to wszystko na sytuację słowa. Wydaje mi się, że Gomułka bardzo mocno próbował walczyć ze słowem, ale już mu się wszystko sypało. To był bardzo represyjny władca, za słowa wsadzał ludzi do więzienia. Gierkowi już brakowało egzekutywy, miał już zresztą drugi obieg, miał alternatywny świat nauki, a Gomułka jeszcze walczył ze słowem. Jak wyszedł List 34, *notabene* dotyczący m.in. spraw związanych z wolnością słowa, to zapisy cenzuralne, czyli zakaz publikacji, obejmowały nazwiska kilkunastu spośród jego sygnatariuszy. To nie były żarty!

**W.B. – Tak przedstawioną skróconą historię PRL można zapewne odnieść do dziejów cenzury.**

**W.W.** – Oczywiście. Można na to spojrzeć tak: w okresie PRL pewne tematy wychodzą z cienia tabu – pod naciskiem nowoczesności, świata zewnętrznego i autentycznej pluralizacji społeczeństwa, które, gdy miało jakąś lukę i szczelinę, potrafiło ją wypełnić. I tak w połowie lat pięćdziesiątych prasa mogła odkryć chuligaństwo jako zjawisko („idzie Fikus Targową ulicą”), a w drugiej połowie lat siedemdziesiątych jako temat pojawiła się narkomania, wcześniej jeszcze tak zwane drugie życie, git-ludzie. Nie wiem, czy działo się tak pod naciskiem realiów, czy inteligencji własnej prasy. Powstają sensacyjne artykuły na tematy społeczne, a golizna pojawia się już nie tylko na ekranie, pokazuje ją na przykład pismo „Razem”, założone pod koniec lat siedemdziesiątych. „Razem” było swego rodzaju flirtem Komitetu Centralnego z młodzieżą, udanym zresztą z komercyjnego punktu widzenia. W tym piśmie na pierwszych stronach były omówienia kolejnych plenów partii, a dalej plakaty zespołów młodzieżowych i rozebrane dziewczyny. To się dobrze sprzedawało. A redaktorem naczelnym był Leszek Gontarski – instruktor KC.

Rygor cenzury i kontrola słowa były najostrejsze w latach pięćdziesiątych, w okresie najsilniejszej sowietyzacji i inwazji stalinizmu. Potem – tak po polsku – sprawy zaczynają się na tysiąc sposobów wikać. Po stronie społecznej – mam tu na myśli autorów, pisarzy, dziennikarzy – jest to wypracowanie różnych metod konfrontacji z tym systemem: omijania, używania języka ezopowego, metajęzyka, mrugania okiem do publiczności. Na przykład w „Obrazie Tygodnia” w „Tygodniku Powszechnym” w marcu 1968 r. jest notatka, że pod Warszawą Wisła jest brudna. Cenzor nie może tego zatrzymać, a wszyscy wiedzą, o co chodzi. To jest cała gra. Można opowiadać miliony anegdot o tym, w jaki sposób obchodzono cenzurę.

**W.B. – Powiem złośliwie, że byli tacy, którzy wręcz uprzedzali decyzję cenzora.**

**W.W.** – Trudno mówić o samej cenzurze, to jest cały system politycznego dozoru, kontroli, represji i cały system współdziałania w tym różnych ludzi – z autorami włącznie. Nie należy mistyfikować, że jest cenzor, a reszta towarzyszy tylko próbuje go ominąć. Przede wszystkim funkcjonuje autocenzura.

GŁÓWNY URZĄD KONTROLI  
PUBLIKACJI I  
DE



TEGO  
PO ZABO  
NIE  
CHC  
SPA

Plakat rozpowszechniany w latach 1980–1981.  
Ze zbiorów Jana M. Rumana

ADKU  
RCACH  
CEMY



Dziś bardzo wielu autorów może się bić w piersi. Niech sami o sobie powiedzą, jak szukali szansy dla swojej książki czy swojego tekstu. To jest cała strategia pisarska – pewnych tematów się nie podejmuje, bo z góry było wiadomo, że nie ma szans, w każdym razie na tym etapie, w tym okresie. Ludziom trudno się przyznawać do tego, że wybierali to, co miało szansę.

**W.B. – To właśnie te słynne pisarskie szuflady, w których okazało się, że nic nie było albo było bardzo niewiele.**

**W.W.** – Dlaczego autor ma stracić osiem lat, zaprzepaścić karierę, skoro nie ma żadnej szansy, żeby coś opublikować? Szuka tematów uczciwie dobranych, ale które mają szansę. Poza tym funkcjonował cały system wydawców i redaktorów. Ja nie wierzę, że cenzor dopisuje, cenzor może wykreślać, dopisuje redaktor i wydawca – to on naciska na autora, pertraktuje z nim i mówi: puścimy to panu, ale niech pan napisze, że ktoś tam to był kawał łobuza – jak pan to dopisze, to my to puścimy. Piłeczka jest po stronie autora.

**W.B. – Czyżby zatem był to swoisty sport o stosunkowo jasno określonych regułach?**

**W.W.** – Pamiętam gry, które toczyły się między cenzurą a redakcjami „Mówiący wieki” czy „Polityki”, w której zacząłem pracować w 1985 r. Istniały trzy rodzaje uwag cenzuralnych, nanoszone nawet różnymi kolorami ołówka. Pierwszy kolor to jest bez dyskusji do zdjęcia, inny kolor – do dyskusji, można było pertraktować. Zdarzyło mi się dwa razy pertraktować z cenzorem w sprawie jakiegoś fragmentu tekstu. Pamiętam, że pisałem wtedy o Październiku 1956 r. w jakimś kalendarium i użyłem w nim określenia „ruchy wojsk radzieckich”. Cenzor powiedział, że on mi tego nie puści. Ja na to, że ja to zdejmuję, bez tej informacji cały tekst jest bez sensu, bo to jest kluczowa informacja. Wtedy on mi mówi, to pertraktujemy, może by tam dać określenie, proponuje mi: „dyslokacja oddziałów wojskowych radzieckich”. Odpowiadam, że właściwie to jest to samo. On na to, wie pan, ale nie każdy to rozumie, a ja jestem kryty. A trzecia kategoria uwag dotyczyła redaktora naczelnego – jeżeli chce się upierać, to rozmawia nie z cenzurą, ale z decydem politycznym. Taka sytuacja dotyczyła większości pism RSW „Prasa”. W pewnym momencie pod koniec lat osiemdziesiątych można było zamieszczać w miejscach cenzorskich cięć w nawiasach numer dziennika ustaw o cenzurze, tak zwane ingerencje. „Tygodnik Powszechny” wręcz tym, zdaje się, handlował. Ci z cenzury mówili: możemy wam zdjąć trzy czwarte numeru, a oni na to: bardzo chętnie, bardzo się cieszymy, że trzy czwarte numeru ukaże się z ingerencjami. Ale cenzor mówi – macie pozwolenie na dwa zacytowania dziennika ustaw, ale musicie odpuścić nam tu i tu, my za to wam puścimy tekst – powiedzmy – o Miłoszu. Cenzura dbała o to, żeby ich ingerencje nie były zbyt widoczne. W wielu pismach RSW „Prasa” większość interwencji w ogóle nie była zaznaczana.

## W.B. – Ciekawa jest sprawa instrukcji dla cenzury, czyli tak zwanych zapisów.

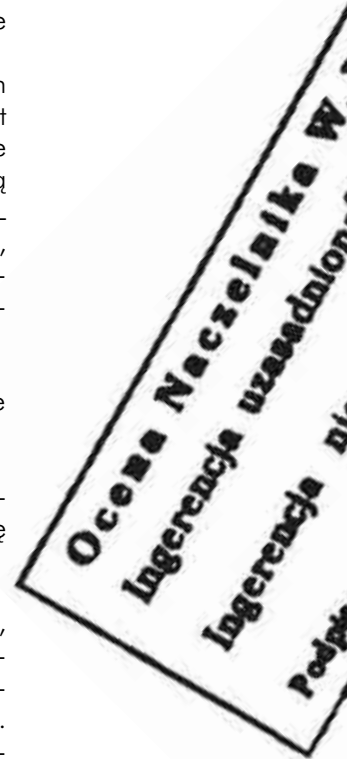
A.P. – Jeżeli chodzi o źródła zapisów cenzury, to były one bardzo rozmaite. Mogły być instytucjonalne i mogły być personalne. Dopiero na takiej podstawie wytwarza się te księgi zapisów. Zespół archiwalny po GUKP-PiW jest wciąż jeszcze nieuporządkowany. Nie ma żadnych teczek personalnych i nie ma – na ile mogłem to sprawdzić – księzek zapisów cenzorskich, znalazłem tylko jedną, zdekompletowaną. Ograniczenia co do publikowania tego czy owego tak naprawdę pochodzą zewsząd, a zbierane są ostatecznie w GUKP-PiW, przy czym każdy zapis zyskuje akceptację czynników partyjnych. Mogą to być zatem wskazówki pochodzące z instytucji, na przykład jest lista, która przychodzi z Ministerstwa Zdrowia, że LSD jest tematem zakazanym, żeby zdejmować wszystkie informacje na ten temat. Pamiętam też taką bardzo szczegółową wskazówkę któregoś z ministerstw związaną, o ile pamiętam, z problemem wkładki mięsnej w posiłkach regeneracyjnych dla robotników wielkich zakładów przemysłowych. Z planów wynika, że ta wkładka nie będzie zapewniona, więc temat trzeba zdjąć i nie wolno go ruszać.

Zapisy jednak to jedno, a próby formułowania bardziej ogólnych zasad to drugie. W cenzurze często rozsądza się na przykład, co jest „słuszną krytyką”, a co „krytykanctwem”. Spotkałem bardzo zabawne i długie wypowiedzi, a nawet całe referaty o różnicach między krytyką a krytykanctwem, wygłaszane przez jednego z czołowych działaczy PRL Eugeniusza Szyra wobec cenzorów i tłumaczy. Jak rozpoznać krytykę, która pokazuje dobre i złe strony oraz możliwe rozwiązania, od krytykanctwa, które jest nieuzasadnione. Często ofiarami krytykanctwa padają rozmaici lokalni towarzysze.

T.S. – Dla mnie jest rewelacyjne to, co pan powiedział, że niektóre zakazy pochodzą z ministerstw, a nie od władz partyjnych.

A.P. – Przychodzą nawet listy tematów do zastrzeżenia z zakładów przemysłowych, ale tu GUKP-PiW jest zasadniczy i dopuszcza tylko ścieżkę przez rząd lub Biuro Polityczne.

W.W. – Nie chcę wdawać się w rozważania, ile w PRL było totalitaryzmu, a ile autorytaryzmu, ale cechą każdego totalitaryzmu jest gadanina. Totalitaryzmy legitymizują się miliardami słów. Produkcja piśmiennicza lat pięćdziesiątych była potworna, można pójść do biblioteki przejrzeć katalogi. W dziesiątkach i setkach tysięcy nakładu produkowano tysiące broszur, gazety itd. Większość tych dzieł, tkwiących na półkach w bibliotekach po dziś dzień, nie została nawet rozcięta, miała i ma wartość wyłącznie makulatury. Ale słowa w nich zawarte są skontrolowane i ocenzone, a potem represjonowane, jeśli niechcący przez to sito coś przeszło. Gdy Adam Ważyk napisał *Poemat dla dorosłych*, to trzech członków Biura Politycznego KC





PZPR, na wielkim sabacie czarownic, odbywało nad nim sąd jesienią 1955 r. Paweł Hoffman, redaktor naczelny „Nowej Kultury”, za puszczenie poematu wyleciał ze stanowiska. Ze słowami w tym systemie nigdy nie było żartów. Stąd powiedzenie Stalina, że pisarze to inżynierowie dusz. Słowo było ogromnie ważne dla tego reżimu i chcąc nie chcąc, podejmując rozmowę o cenzurze, dotykamy morza problemów PRL.

**B.P. – Moim zdaniem istnieją dwa przykłady najbardziej drastycznych, o największym zasięgu dotkliwości społecznej działań cenzorskich i paracenzorskich: na poziomie informacji codziennej i perustracja listów. To jest odcinanie człowieka od elementarnego prawa do informacji i ingerowanie w jego prywatne życie.**

**A.P. –** Wbrew temu, co można sądzić, *bête noire* peerelowskiego cenzora niekoniecznie była publicystyka czy reportaż. GUKPPiW zmieniał nawet treść informacji agencyjnych przeznaczonych dla prasy codziennej i to nie przez blokadę tej czy innej wiadomości, ale przez jej przeredagowywanie, mówiąc wprost – przeinaczanie.

**T.S. –** To jest groźne, bo my, historycy, traktujemy prasę jako źródło.

**W.B. –** Mnie to się kojarzy z zakazem fotografowania, jaki obowiązywał w PRL na najbardziej nawet zapyziałych stacyjkach kolejowych. Uznawano to za tajemnicę wojskową chyba w skali całego Układu Warszawskiego.

**A.P. –** Do spraw wojskowych była wyspecjalizowana komórka, a mianowicie Samodzielny Wydział Wojskowy (nietypowa w zasadniczo terytorialnej strukturze urzędu) z pułkownikiem Pancernem na czele. W rozkładzie jazdy PKS oznaczono trzy przystanki w Pilchowicach pisząc, że autobus zatrzymuje się w miejscach zwanych kolejno Pilchowice, Pilchowice most, Pilchowice zapora. Po ingerencji cenzury zostało Pilchowice, Pilchowice, Pilchowice.

**W.B. –** Ochronę tajemnicy wojskowej można jakoś pojąć. Mniej zrozumiałe z dzisiejszego punktu widzenia są zapisy dotyczące zakazu publikacji przez konkretne osoby, czy też nawet wspomniania o tych osobach w pozytywnym czy neutralnym kontekście. Tak było na przykład z Czesławem Miłoszem do momentu otrzymania przez niego Nagrody Nobla.

**A.P. –** Wskazówki co do konkretnych ludzi są niekiedy także śladem napięć w samym aparacie partyjnym. Z dokumentów nie wynika, gdzie było źródło takich decyzji, ale na przykład jest takie zalecenie, że w tym danym roku nie powinny ukazywać się żadne życzenia urodzinowe dla towarzysza Mariana Spychalskiego, bądź co bądź długoletniego członka Biura Poli-

tycznego, a przez pewien czas formalnej głowy państwa. Mogą się pojawiać krótkie wzmianki, ale nie życzenia. To już jest po tym, jak Gomułkowcy zjeżdżają w dół. Bardzo interesujące z punktu widzenia badań nad zapisami cenzury PRL są właśnie momenty kryzysów ideologicznych. Wtedy tak naprawdę nie wiadomo – ciąć czy nie ciąć. A trzeba ciąć na bieżąco, bo chodzi o prasę codzienną. Dobrze to widać na przykładzie 1968 r. Jest generalna linia – bić w syjonistów, ale na tej fali nagle wyjeżdżają różne wątki, na przykład krytyki stalinizmu. I tu pojawia się straszny problem, bo od początku lat sześćdziesiątych przyjęto zasadę, że stalinizmu już nie krytykujemy. I nagle w 1968 r., w kwietniu czy w maju pojawia się taka dyrektywa – wszystkie decyzje polityczne dotyczące prasy codziennej podejmuje Główny Urząd Kontroli Prasy, ewentualnie przekazuje je Biuru Politycznemu. Poszczególne terenowe oddziały cenzury ciągle się gubią, nie wiedzą, co puszczać, a czego nie puszczać, tu są za daleko, tu są za blisko, albo są za bardzo pryncypialni, albo są zbyt elastyczni. Mają kłopot.

**W.W.** – Jak władza była w kryzysie, a zdarzyło się tej władzy parę razy być w aktywnym kryzysie w 1956, 1968, 1970 i 1976 r., to wchodziła w taki stan chaosu, zagubienia się, wewnętrznej konkurencji, walki o władzę, że rzeczywiście często używano prasy do gier wewnątrzpartyjnych. To szczególnie było widać w 1956 r., kiedy tak zwani liberałowie rządzili prasą i walczyli za pomocą prasy z Natolinem, to jest z konserwą partyjną. W 1980 i 1981 r. Stefan Olszowski, który kieruje prasą, nauczony doświadczeniem z 1956 r., próbuje wzmocnić to silne skrzydło. Zakłada „Grunwald” i „Rzeczywistość” i próbuje zbudować bastion doktryny. Ale zawsze tak było, że prasa – czyli społeczeństwo – korzystała na tym chaosie. Po pierwsze władza, traktowana jako monolit, nie wie, jakie podjąć decyzje między wtorkiem a środą czy czwartkiem. Pamiętam przemówienie Jerzego Morawskiego do literatów z kwietnia 1956 r. On, największy liberał partyjny, naczelny redaktor „Trybuny Ludu” rządzący całym frontem prasowym, przychodzi do literatów i mówi im, na czym polega wolność słowa. Mówi, ja wam powiem, gdzie jest granica słowa – nie walczymy z kolektywizacją, prymas Wyszyński nie wyjdzie z internatu itd. Nie pozwolimy na taką wolność słowa. Mijają trzy miesiące, prymas Wyszyński jest na Miodowej. Większość kołchozów rozpada się jeszcze szybciej – w jeden miesiąc. Sekretarz nie jest w stanie dogonić tej rzeczywistości. Próbuje trzymać swoją gazetę i inne też na określonej granicy, a ta granica mu się przesuwają. Zresztą na początku lipca przestaje być redaktorem naczelnym „Trybuny Ludu”, bo po wypadkach czerwcowych publikuje – on, sekretarz KC – tekst pod tytułem *Pierwsze wnioski* i na wniosek Biura Politycznego zostaje zdjęty ze stanowiska. Nie da się w takich warunkach zapanować nad dynamiką historii. Cenzura głupieje, wariuje, ona nie wie, gdzie towarzysze, gdzie dyrektywy, co jest słuszne, a co niesłuszne. To wciąż jest ten problem: słuszne – niesłuszne. Wczoraj nie wolno było grać jazzu, a dzisiaj wolno, przesuwamy te wszystkie granice. Tak samo było w 1980 i 1981 r.,



to im się sypało, a jeszcze się nawzajem podpuszczali. Jeden rządzi takim redaktorem, inny rządzi innym, gazety nawzajem na siebie napadają. To jest zresztą zawsze najbardziej interesujące, wydaje mi się, ta swoista biologia władzy. Gdy ją widać publicznie, to właśnie w takich momentach włącza się zawsze tak zwany problem radziecki, bo oni interweniują i od razu coś widać.

**B.P. – Wąskim gardłem cenzury były kłopoty kadrowe; ograniczały one jej sprawność, szczególnie na początku, kiedy po prostu brakowało dyspozycyjnych ludzi, odpowiednio przeszkolonych i zaufanych współpracowników.**

**A.P. –** To prawda. Postulat „wszechogarnialności” kontroli cenzuralnej nie zawsze udawało się zrealizować. Zwłaszcza kiedy pojawia się telewizja, cenzura sobie nie radzi, ma za mało ludzi. Cenzorzy tak naprawdę nie są w stanie wszystkiego obejrzeć i bardzo dużo rozmaitych rzeczy przepuszczają niechcący. Wszystkie te wpadki potem oczywiście pilnie są omawiane. Przynajmniej przejściowo zatrudnia się „cenzorów zewnętrznych”, którzy analizują zwłaszcza druki obcojęzyczne albo wysoko specjalistyczne, przede wszystkim z zakresu nauk ścisłych i przyrodniczych. GUKPPIW notorycznie domaga się większej liczby etatów i rzeczywiście – przynajmniej w niektórych ośrodkach – ma to swoje uzasadnienie.

Wypada przy okazji dodać, że były pewne kategorie druków zwolnione z kontroli cenzury, na przykład etykiety na produkty spożywcze, jeżeli zawierały tylko podstawowe informacje o towarze, czy wizytówki, pod warunkiem że znajdowały się na nich tylko nazwisko i adres.

**W.B. – Potwierdza to moje wspomnienie o dostępnych w stanie wojennym ciasteczkach, których producentem była spółdzielnia „Solidarność”. Wróćmy jednak do miejsca cenzury w systemie zależności obowiązującym w PRL.**

**A.P. –** Dla peerelowskiej cenzury charakterystyczne jest to, że władza posługuje się nią zawsze tym intensywniej, im sama jest słabsza. Tak na zdrowy rozum tej władzy nie zawsze jest potrzebna tak ostra cenzura, jak ją nieraz stosuje, bo władza była w stanie się utrzymać, nawet gdyby w tej sferze poluzowała. To pierwsza zaskakująca rzecz. Druga – to niekoherencja ideologiczna. Komunizm, zakładający prymat bytu nad świadomością, słowo powinien mieć w pewnym lekceważeniu i akurat słowa nie powinien aż tak bardzo się obawiać. Na ten paradoks zwracała uwagę prof. Antonina Kłoskowska.

Z relacji osób, które miały doświadczenia z cenzurą, wynika, że tak naprawdę nie fakty były dla cenzury najważniejsze, nie opinie, bo one mogą się zmieniać, ale styl. Jeżeli będziemy pisać w odpowiednim stylu, począwszy od składni przez słownictwo, pisać szaro, nudno, odwodując się do prac naukowych czy quasi-naukowych, to generalnie wszystko

przejdzie. Jest taka relacja historyka Ludwika Hassa, który mówi, jak redaktor jego książki uspokoił go, że ta książka na pewno przejdzie, bo on ją tak wyprasuje, że będzie taka szara i nudna, i wtedy na pewno przejdzie. Na takim języku „naukowym”, szarym, beznamiętnym i nudnym, cenzorzy najczęściej się przejeżdżali, ponieważ puszczali bardzo dużo „błędów” w tych książkach, sądząc, że nie ma w nich nic groźnego. Tak na przykład ukazała się „niecenzuralna” ankieta socjologiczna, której autorzy starali się wyjaśnić, dlaczego Polacy uciekają do Niemiec i podają się za Niemców. To wszystko było podlane sosem naukowym i cenzor niczego groźnego tam nie znalazł. Jeżeli ktoś się nauczy takiego stylu, jest idealnym autocenzorem. Stefan Kisielewski w podziemnym „Zapisie” (z 1977 r.) odstąpił istotę cenzury zauważając, że zmierzają do „przyzwyczajania piszących, aby myśleli i formułowali swe myśli w pewien określony sposób, bo pisanie w inny będzie likwidowane lub przez odpowiednie skreślenia zmieniane”.

**B.P.** – Nie mogę sobie odmówić w tym miejscu przypomnienia pewnego przewrotnego przykładu z relacji Wiktorii i René Śliwowskich – pewien niezły sowiecki pisarz, chyba chodziło o Arkadiusza Bielin-kowa, gdy znalazł się na emigracji, stał się pisarzem zdecydowanie marnym, ponieważ zaprzestał używania w swoich tekstach bardzo wyrafinowanego, eleganckiego, pogłębiającego formułowane myśli języka. Brak cenzury spowodował, że jego język stał się nieciekawym. *Wot, problema.*

**A.P.** – Bodaj najbardziej charakterystyczną dla cenzury komunistycznej rzeczą jest jej funkcja „pozytywna” czy też aktywna. Wycinana każda cenzura, raz lepiej, raz gorzej, wedle rozmaitych kryteriów, natomiast najgorsze jest to, że cenzura komunistyczna starała się wstawiać rozmaite rzeczy. Jeden z byłych cenzorów powiada tak (w wywiadzie dla Pawła Misiora): „Rutynowany cenzor nie myślał o tym, żeby wstrzymać cały tekst, tylko o tym, żeby zmienić słowo, zmienić lekko znaczenie zdania, coś złagodzić, poprawić wydźwięk”. Jeśli przedwojenny cenzor wyrzucał cały tekst, to wyrzucał cały tekst, natomiast najgorsze w PRL było to, że idzie do dystrybucji książka i wszyscy myślą, że wszystko, co w niej jest napisane, jest dziełem autora, a autor jej nie poznaje – i tak to zostaje. A czytelnik? Raz jeszcze warto zacytować Kisiela – „należy zasugerować czytającym, że autorzy tak myślą, jak piszą”.

**T.S.** – Pamiętam taką historię z seminarium prof. Stanisława Herbsta. Na tym seminarium było grono bardzo różnych ludzi i między nimi był (wtedy już chyba pułkownik) Tadeusz Rawski. W 1963 r., jeśli dobrze pamiętam, wyszła pierwsza synteza *Polacy w II wojnie światowej* wydana przez Wojskowy Instytut Historyczny, której autorami było czterech pułkowników, takich tużów, między innymi on. Leszek Moczulski recenzował to i straszliwie krytykował, w ogóle wszyscy się okropnie czepiali.

GŁÓWNY URZĄD KONTROLI PRASY,  
PUBLIKACJI I WIDOWISK  
ul. Mysia 5  
skr. pocztowa Nr P-32  
00-950 Warszawa

GŁÓWNY URZĄD KONTROLI PRASY,  
 PUBLIKACJI I WIDOWISK  
 ul. Mysia 5  
 skr. pocztowa Nr P-32  
 00-950 Warszawa

K.P.  
 Kancelaria  
 Program  
 Zbiórka  
 (zob. 1):  
 Kancelaria

Gdybym był na miejscu Rawskiego, to wyszedłbym i powiesił się, a on się śmieje. Zabrał głos i mówi – ja nie wiem, kto to napisał, tu jest tyle rzeczy, których myśmy nie napisali, my w tej książce mamy tylko nazwiska, czytamy ten tekst jak cudzy.

**W.B. – Jest też pewne prawdopodobieństwo, że on nie do końca mówił prawdę, że się wstydził w tym środowisku tej książki, a gdzie indziej...**

**T.S. –** Autorzy książki pozwalali na te ingerencje, gdyż nadal chcieli zachować swoje stanowiska w WIH, mimo że ingerencje cenzury, a zapewne także innych czynników politycznych, szły bardzo daleko i dotyczyły wielu fragmentów opracowania. I to jest groźne, gdyż firmowali oni swoim autorytetem pracowników nauki sformułowania będące owocem nie badań, lecz aktualnej „linii politycznej” w odniesieniu do konkretnych zjawisk historycznych.

**W.W. –** To jest specyfika środowiska wojskowego, na uniwersytecie czy w PAN nie wyobrażam sobie takiego dzieła, choć może się myłę.

**W.B. – Jest taka piosenka Jana Krzysztofa Kelusa, w której śpiewał on m.in. o cenzorze-filozofie, który „zabija ludzkie myśli jak zwierzęta”, w zamian za co może liczyć „zamiast 4800 na rękę 8400”. Niektórzy z panów pewnie zetknęli się z tą kategorią ludzi w życiu. Są różne relacje, znany jest wywiad z cenzorem opublikowany swego czasu w „Tygodniku Solidarność” czy sprawa Tomasza Strzyżewskiego i Czarnej księgi cenzury PRL. Może powiedzmy coś o cenzorach jako ludziach.**

**B.P. –** Może paradoksalnie ja zacznę. Gdy pracowałam jako goniec w miesięczniku „Więź”, jednym z moich zadań było zanoszenie i odbieranie z cenzury tekstów. Po drodze, między ul. Kopernika a ul. Mysią (gdzie była siedziba cenzury), była na ul. Foksal księgarnia PIW, miejsce-klub. Tam właśnie dowiedziałam się, że umarł Breżniew. Byłam bardzo podekscytowana, odbierałam od naszej cenzorki Barbary Golec teksty i zagadnęłam ją – czy pani wie, że umarł Breżniew!? Ona zachichotała i natychmiast strasznie się spłoszyla. Po raz pierwszy wtedy zobaczyłam na jej twarzy uśmiech i takie jej normalne oblicze.

**W.W. –** W cenzurze oczywiście była olbrzymia specjalizacja wewnętrzna. Pamiętam ten wywiad zatytułowany *Ja, cenzor*, który ukazał się na wiosnę w jednym z pierwszych numerów „Tygodnika Solidarność” w 1981 r. Rozmowa była kryptonimowana, a cenzor był już poza zawodem. Wstydził się, ale mówił. On był w elicie zawodu, bo był specjalistą od prasy katolickiej, to była taka wewnętrzna elita. Był najlepiej

przygotowany ze wszystkich, miał bardzo luksusowe warunki pracy, w tym również finansowe. Tacy jak on byli pepiniery zawodu. Opowiadał o tym, jaką miał ciekawą robotę – pierwszy czytał wszystkie teksty i był jedyną osobą, która mogła pertraktować z redakcjami. Czyli tam, wewnątrz też była jakaś hierarchia, elita itd. Warto byłoby zajrzeć do tego tekstu, ja nie pamiętam innej spowiedzi cenzora.

**B.P. – Ten sam cenzor, tym razem już pod własnym nazwiskiem – Andrzej Góralczyk, socjolog – był bohaterem audycji w II programie PR. On się w tej rozmowie szalenie puszył, tym chociażby, że był świetnie poinformowany. Pamiętam, że właśnie z tego zrobił wielką wartość – wie mnóstwo rzeczy, o których inni nie mają pojęcia, bo on własnymi rękami wycinał te właśnie rarytasy, które potem były jego atutem towarzyskim. Mam wrażenie, że specjalizacja i wyrafinowanie cenzury przyszło z czasem, na początku była ona prosta jak karabin, bez finezji, przynajmniej w pierwszych latach i w stalinizmie.**

**A.P. –** Cenzorzy byli bardzo różni w zależności od ośrodka. Są takie bardzo mocne ośrodki – Gdańsk, Warszawa czy Kraków – gdzie cenzorzy są najczęściej niedopieczonymi naukowcami, nieudanymi doktorantami. Byli w środowisku naukowym, coś im się nie powiodło i trafiają do cenzury, gdzie w walce ze swoimi kolegami albo promotorami odbijają sobie własne niepowodzenia. Są też takie ośrodki, gdzie cenzorami są ludzie o bardzo wąskich horyzontach, którzy w najlepszym razie mają średnie wykształcenie. Na początku lat siedemdziesiątych weszło rozporządzenie, które stawia cenzorom wymóg wyższego wykształcenia, ale cenzorzy w większości nie spełniają tego wymogu. W GUKPPIW w 1971 r. tylko 67 proc. urzędników cenzurujących miało skończone studia. A przecież w stosunku do sytuacji sprzed 1956 r. to niezwykle skok, bo wcześniej ludzi wykształconych można by ze świecą szukać.

Ciekawi są cenzorzy prowincjonalni – ci ludzie to są tacy inteligenci, którzy na swój sposób wręcz rozczulają. Przyjeżdżają na przykład na szkolenia do Warszawy, przy tej okazji idą do teatru. Potem muszą pisać relacje z tych swoich podróży szkoleniowych. Oczekuje się od nich, że napiszą, czego się dowiedzieli, z jakimi problemami cenzorskimi się zapoznali, jakie są aktualne trendy u dziennikarzy, a jakie wśród cenzorów, na co trzeba zwracać uwagę, jak kształtować politykę wydawniczą itd., a oni piszą, na przykład trochę szkolne, ale piękne recenzje z przedstawienia. Byli w teatrze, są poruszeni scenografią, reżyserią. Często wchodzi w inną, zaskakującą rolę. Spotkałem taką cenzorkę (przez tekst archiwalny), która była absolwentką socjologii, domniemywam, że próbowała swoich sił w zawodzie. Weszła w bardzo trudną rolę obrończyni dzieł Stanisława Ossowskiego, bo tam były zalecane jakieś cięcia, a ona napisała recenzję od serca: „Widać, jak ogromny zasób wiedzy i głęboka znajomość zagadnień cechowała St. Ossowskiego. Jako uczonej i jako filozof jest on niewątpliwie



postać niezwykłą i godną popularyzacji. W kontekście tych spraw uważam, że wszystkie jego prace i artykuły winny się ukazać, nawet jeśli niektóre zagadnienia podlegają obecnie zapisom lub przestały być aktualne (sprawy rozrachunkowe)". Dla wzmocnienia argumentacji dodaje jeszcze, że niecenzuralne treści „zgubią się w tak olbrzymim wydawnictwie, jakim jest sześciotomowe wydanie dzieł profesora Ossowskiego". Książka opuściła gmach cenzury bez skreśleń. Albo inny przykład takiej „odwrotnej ingerencji". „[...] W nowym filmie A. Wajdy *Polowanie na muchy* dokonaliśmy dwu drobnych ingerencji. Film jest bardzo dobry, lecz w pewnych kołach już przygotowuje się akcję zmierzającą do zakazu wprowadzenia tego filmu na ekrany" – skarżył się jeden z cenzorów w 1969 r.

Cały problem z tą ich wrażliwością wynika stąd, że to wcale nie byli kaci, którzy z siekierą czyhali na słowo. Oni wchodzili w rolę krytyka, ojca, który prowadzi, który zachęca, sugeruje. Taka rola jest zawarta w definicji peerelowskiej cenzury, bo w *Słowniku wiedzy obywatelskiej* z 1970 r. jest dokładnie tak napisane, że rola cenzora polega na tym, by chronić autora przed jego niezawinioną niewiedzą. Cenzor ma być dla autora wsparciem. Wybitny prawnik epoki PRL prof. Jerzy Bafia napisał w 1983 r. taki komentarz do ustawy o cenzurze, że cenzura to jest po prostu upaństwowiona krytyka.

**W.W.** – To jest taki zawód, który jest chory na brak poparcia społecznego. Cenzor jest trochę jak grabarz. Groby trzeba zrobić, ale nie każdy chce być grabarzem. Z cenzorami był ten kłopot, że oni cały czas mieli poczucie nieudanego życia zawodowego, skazania przez partię. Z niektórych ludzi cenzorów po prostu zrobiono – „decyzją Komitetu Centralnego staniecie, towarzyszu, na odcinku cenzura". Funkcjonowało nawet takie powiedzenie: zesłanie na Mysię. Siłą rzeczy potem oni powoli racjonalizowali swoją rolę, bo mieli ten potworny kompleks kastrata, który innym musi niszczyć słowa. W 1956 r. jakiegoś cenzora wyrzucano z pracy, bo coś puścił w „Życiu Warszawy", więc zaraz przyjęto go do pracy w tej gazecie. Po Sierpniu 1980 r. cenzura przeżyła jakąś wewnętrzną rewoltę – zawiązała się tam jakaś struktura pozioma.

**A.P.** – Cenzorzy bardzo starali się o to, żeby dostać legitymacje prasowe. Pokazywali się w rozmaitych klubach dziennikarzy, uwielbiali to. Chcieli być traktowani jak zwykli dziennikarze, zwykli pracownicy słowa, którzy są pomocni.

**T.S.** – Chyba nigdy nie dojdziemy, jacy oni byli, bo po pierwsze na pewno byli bardzo różni, po drugie było ich bardzo wielu. Co kartofel, to problem. Myślę, że byli jakoś dobierani, a jednocześnie byli ludźmi. Nigdy nie miałem kontaktu z cenzorem, zawsze robiła to za mnie redakcja PWN lub PIW. Cenzor kontaktował się nawet nie z panią redaktor, która redagowała moją książkę, tylko z jej zwierzchnikiem. Natomiast ważnym elementem, którego nie można pominąć, byli recenzenci.

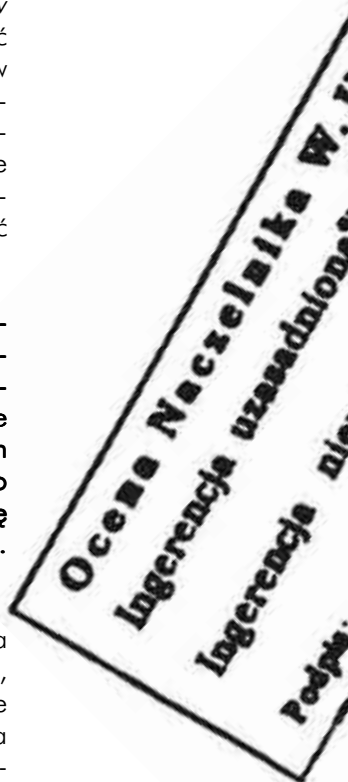
Mówimy o pracach naukowych. Cenzor cenzorem, ale recenzent mógł cię „załatwić” – łącznie z cenzorem lub niezależnie. I tak na przykład WIH przez wiele lat był instytucjonalnym recenzentem prac naukowych dotyczących drugiej wojny światowej. Ja rozmawiałem z pewnym docentem z tego instytutu, który nie wszystko rozumiał w mojej książce o oddziałach szturmowych, chciał ze mną rozmawiać i było wiadomo, że on od tego jest. Płk Stanisław Natęcz-Komornicki recenzował książkę Władysława Bartoszewskiego *1859 dni Warszawy*. Po pewnych zmianach i uzupełnieniach – dodajmy, korzystnych dla książki i uzgodnionych z autorem – puścił ją i został usunięty z wojska i z WIH. Był to akt dużej odwagi. To jest sytuacja, w której fachowy recenzent, historyk tego okresu, spełnia rolę cenzorską, ale były także sprawy zwykłych recenzentów, powoływanych przez daną redakcję do oceny książki.

**W.B. – Mówimy o ludziach, którzy nie byli zawodowymi cenzorami, ale też „zabijali ludzkie myśli jak zwierzęta”.**

**T.S.** – Napisałem taką książeczkę *Odbijanie i uwalnianie więźniów w Warszawie 1939–1944*. Wyszła ona w 1972 r., a powinna wyjść wcześniej. Jeden z recenzentów, do których ją posłano, pan Czesław Pilichowski, człowiek mocny politycznie, szef poprzedniczki IPN – Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, napisał następujące zdanie: „Nie wiem, czy tak było, jak pisze dr Tomasz Strzembosz, bo nie znam się na tych sprawach, ale jeśli tak było, to temat został źle wybrany”. Recenzja kończyła się wnioskiem, że książki nie wolno publikować pod żadnym pozorem, nawet po dokonaniu zmian.

**W.B.** – W książce wspomnień historyków o cenzurze w PRL opracowanej przez Zbigniewa Romka wyczytałem historię Edmunda Makowskiego, profesora historii z Poznania. Zaczynał on swoją karierę właśnie jako cenzor. Potem został redaktorem w Wydawnictwie Poznańskim właśnie dlatego, że znał metody pracy swoich byłych kolegów. Awansował nawet na zastępcę redaktora naczelnego w tym wydawnictwie. Stracił i pracę i stanowisko, kiedy zgodził się na publikację głośnej książki Leszka Moczulskiego *Wojna polska*. W końcu stał się historykiem, znanym specjalistą od dziejów PRL.

**W.W.** – Książki rządziły się trochę innymi prawami niż prasa, a zwłaszcza książki naukowe, bo można było wiele rzeczy załatwić za pomocą nakładu, kolportażu, dystrybucji i były cenne, wartościowe książki, które właściwie nie wchodziły w obieg społeczny, były w obiegu prawie zamkniętym. Na fali bardzo nieprzyjemnych wydarzeń mogły pojawić się bardzo interesujące publikacje, chociażby wokół Marca 1968 r. pojawiła się taka literatura historiograficzna, mająca swoją wartość, a była wspierana przez partyzantów Mieczysława Moczara, który chciał podać rękę akowcom. Wiadomo, że to była pewna gra. W wydawnictwie PAX, choć nie tylko, ukazały się





książki, które wcześniej nie miały żadnej szansy. Ja potwierdzam opowieść pana profesora o tych recenzentach wewnętrznych – to była zgaga. Myśmy ze Zbysławem Rykowskim mieli tę przygodę z 1956 rokiem, sześć lat trzymali tę książkę, mieliśmy 25 recenzji wewnętrznych, w PIW, w Wydawnictwie Literackim, tam były bez przerwy jakieś wielkie kłótnie. Oni nam pokazywali te recenzje, myśmy stawali do dyskusji, to było i tak przegrane, bo za każdym razem domagano się od nas wyrzucenia pierwszego rozdziału, gdzie analizowaliśmy słowa Stalina. To ich doprowadzało do szału. Powiedziałbym nawet, że działalność recenzentów to jest już nie tylko rodzaj cenzury, to jest realizacja doktryny politycznej. To jest pewna koncepcja polityczna, która nie ma formy cenzorskiej, ale jest formą nagany, odzucenia, murem, przez który nie można się przebić, w którym się utyka. Miałem też raz doświadczenie z redaktorem z Czytelnika, jego nazwiska nie będę wymieniał, który bardzo nieporadnie, po chamsku próbował grzebać w jakichś fragmentach tekstu i próbował coś wymuszać. Każda rozmowa z nim kończyła się grubą awanturą, był szalenie irytujący.

**A.P.** – Gdy śledzi się rozmaite protokoły interwencyjne, najczęstszym materiałem do cenzurowania wcale nie są prace naukowe, ale rozmaite popularyzacje. To bardzo zresztą słuszna identyfikacja, jeżeli gdzieś toczy się walka o świadomość społeczną, to odbywa się ona raczej na poziomie „Tygrysów”, kryminałów opartych na realiach wojennych itd. Oni dobrze wiedzieli, gdzie jest pies pogrzebany.

**W.W.** – Chcę wrócić do pamięci środowiskowej dziennikarskiej i powołać się na nią – opowiadali mi o tym koledzy, którzy z racji funkcji, na przykład zastępcy redaktora naczelnego, musieli co tydzień rozmawiać z cenzorem i dogadywać się z nim co do numeru. Wiadomo było, że jest jeden lepszy cenzor, że można się z nim dogadać, on jakoś tam pakuje po tamtej stronie, i drugi, oszalały zupełnie, prymus zawodu, z którym nie można się było dogadać. Ja miałem do czynienia z obydwoma gatunkami. Jeden cenzurował „Mówią wieki”, gdzie pracowałem przez wiele lat. Zdarzało mi się pójść na Mysię z tekstem. Ten cenzor to było takie życzliwe chłopisko, bardziej przerażony od nas, bo się bał, że mu zrobią jakąś awanturę od góry, a z drugiej strony bał się nas – że jesteśmy ustosunkowanym środowiskiem historyków, jak nam coś zdejmie, to Wolna Europa zrobi z tego show. Był przerażony i próbował coś wypertraktować. Ten drugi – „zły”, jak o nim mówiono w „Polityce” – to był jakiś oszalały facet, bardzo sprawny, wyedukowany, czepiał się tekstu potwornie, mówiąc cały czas – to nie do dyskusji, i to nie do dyskusji. Widziałem przed sobą człowieka, który lubi tę robotę.

**B.P.** – **Lubili ją chyba ci, którzy mieli potrzebę władzy.**

**T.S.** – Istotny w ich pracy był zapewne element anonimowości, dość straszny.

**W.B.** – Mam takie wrażenie, że trudniej było być partyjnym historykiem, który zajmuje się tematyką ściśle partyjną, chociażby historią KPP, PPR czy PZPR, niż takim, który wybrał inną, bezpieczniejszą dziedzinę, nawet historii najnowszej. Tutaj był taki obszar wyjątkowo drażliwy, urzędowo zajęty, w pewnych momentach stający się wręcz elementem systemu.

**W.W.** – Pamiętam, jak w 1971 r. prosiłem starszego kolegę o radę w sprawie specjalizacji. Zajmowałem się okresem międzywojennym, a bardzo mnie ciągnęło w kierunku historii PRL. On mi mówi, broń cię Panie Boże, zostań w tym okresie międzywojnia, bo to jest jeden z ostatnich okresów, którym się można zajmować, no, może jeszcze drugą wojnę. Doktorat robiłem z II Rzeczypospolitej i długo się tego trzymałem, dopiero po 1980 r. wydawało mi się, że można się do tego PRL zbliżyć, bo wcześniej to był zakłęty krąg takiej talmudyczno-partyjnej historii pisanej nie przez historyków, tylko przez Komitet Centralny. Pamiętają państwo zapewne – Władysław Góra, Kadłubek Polski Ludowej.

**T.S.** – Jak pan mówi Władysław Góra, to muszę coś powiedzieć. W 1984 r. poszedłem do Pałacu Kultury do księgarni. Jest książka Władysława Góry *Historia PRL 1944–1984*. Ja jej nie zamierzałem kupić, ale kupiłem. Przejrzałem indeks – zwracam uwagę, że to nie była historia partii, tylko historia Polski – nie było w tym indeksie człowieka, który się nazywał Stefan Wyszyński, a prymas Józef Glemp był wspomniany cztery razy. Uznałem, że to jest dokument czasów i dlatego muszę to kupić. To też są pewne kurioza. Nie sądzę, żeby Władysław Góra miał zakaz napisania czegoś o Wyszyńskim.

**W.W.** – O tej książce można by wiele mówić. Gdy on pisał swoją książkę, nie obowiązywała politycznie kryzysologia, czyli konstatacja, że PRL rozwijał się od kryzysu do kryzysu. Góra wobec tego, aby uzasadnić wewnętrzne podziały, przyjął je według planów gospodarczych. Takich książek było mnóstwo, iluś tam historyków na dobrych etatach, korzystając z materiałów albo nie korzystając, mimo że je mieli pod ręką, napisało obfity zbiór makulatury o PRL, bardzo żałosny. Blokowali w ten sposób innych. Starszy kolega naprawdę mądrze mi powiedział – ty się do tego nie zbliżaj, nie masz żadnej szansy, nie będziesz miał dostępu do źródeł, wszystko będzie tak cenzurowane i pilnowane politycznie, że nie masz szans.

**T.S.** – Jest jeszcze jedna rzecz, którą należy zauważyć, przecież byli i wtedy uczciwi historycy PRL, na przykład pracownia prof. Franciszka Ryszki, prof. Tomasz Szarota, prof. Krystyna Kerstenowa i inni. Nie wychodzili oni poza pewną cezurę czasu, poza rok 1949, bo nie można byłoby powiedzieć czegoś, nie mówiąc o tym, że jest to rozkwitający stalinizm.

**W.B.** – Jeszcze nie rozmawialiśmy o alternatywie. Oczywiście było nią Radio Wolna Europa. Były działy prohibitów (czyli książek zaka-

GŁÓWNY URZĄD KONTROLI PRASY,  
PUBLIKACJI I WIDOWISK  
ul. Mysia 5  
skr. pocztowa Nr P-32  
00-950 Warszawa

GŁÓWNY URZĄD KONTROLI PRASY,  
PUBLIKACJI I WIDOWISK  
ul. Mysia 5  
skr. pocztowa Nr P-32  
00-950 Warszawa

zanych) w lepszych bibliotekach i nie było to specjalnie trudne, aby się do nich dostać. Z wyjazdów zagranicznych przywoziło się znaczną liczbę nieocenzurowanych książek i czasopism. Był wreszcie – od pewnego momentu – drugi obieg.

W.W. – Pamiętam z opowieści moich starszych kolegów dziennikarzy, że do tego momentu, dopóki nie pojawił się drugi obieg, znakomicie pełnili funkcję takich demiurgów społecznych. Nie bez przyczyny była wielka popularność tekstów takich wybitnych autorów jak Hanka Krall, wielkich reporterów polskich, którzy metatekstem umieli dużo o rzeczywistości powiedzieć. Dziennikarka pisała reportaże o cyrku i kończyła zdaniem: dyrektor kieruje, a treser rządzi, i wszyscy wiedzieli, że chodzi o partię i o premiera, zgodnie z hasłem, że partia kieruje, a rząd rządzi. Na tym polegały te zabawy. I nagle przychodzi 1976 r. – po co udawać, po co pisać jakieś metafory i aluzje, kiedy można tak prosto walnąć. Wielu ludziom pióro zaczęło wylatywać z rąk.

T.S. – A już można było prosto walnąć? To jest pytanie.

W.W. – Oczywiście w drugim obiegu. Jeszcze inny wątek wart jest wspomnienia. Wyszła niedawno książka niemieckiego historyka Stefana Wolle o NRD, w której on opisuje schizofreniczną sytuację enerdowską. Warto się tamtej sytuacji przyjrzeć. Oni już od połowy lat siedemdziesiątych przeżywali inwazję zachodnioniemieckiej telewizji, radia. Wszyscy tego słuchają, a reżim cały czas działa po swojemu. Wolle zaczął to badać i stwierdził, że tej enerdowskiej prasy nie da się pojąć, jeżeli się nie pobiera informacji z Zachodu, ponieważ ona jest w pewnej relacji z tym obiegami.

W.B. – Z tego może wynika, że poszczególne obiegi informacji – oficjalny i nieoficjalny – składały się w takich „półotwartych społeczeństwach” jak Niemcy Wschodnie, ale chyba też i Polska czy Węgry, w jakąś, mimo wszystko, spójną całość.

B.P. – Chciałabym powrócić do społecznych skutków działania cenzury i tego, że jej obecność i aktywność była odczuwalna przez szeroki ogół; to widać w choćby w hasłach nawołujących do zniesienia cenzury podczas różnych fal wzrostu napięcia społecznego.

W.W. – To ładnie brzmi, ale nie wiem, czy to jest wątek, który warto ciągnąć. Mnie się wydaje, że problem cenzury jest jednak dla tych, którzy produkują słowa, i tych, którzy je odbierają świadomie, na pewnym poziomie aktywności umysłowej. Nie sądzę, żeby to był tak powszechnie uświadamiany sobie kłopot. Dla chłopca wolność jest, kiedy może on sprzedać buraki cukrowe czy porzeczki. Więc jednak to jest problem tej klasy umysłowej, jej wartości i stylu myślenia, on oczywiście

łatwo był przyjmowany przez wiecie, w atmosferze wolnościowej. Tam każde hasło by przeszło, byle dobrze brzmiało. Jeżeli dzisiaj mamy około trzech i pół miliona odbiorców prasy, w tym wyrobów prasopodobnych typu „Naj” itd., to jest niecałe 10 proc. społeczeństwa, z czego przynajmniej połowa nie wie, że cenzura istniała, że może istnieć, bo ta prasa jako byt nie poddaje się cenzurze, chyba że obyczajowej.

**A.P.** – Mam wrażenie, że pan profesor sam sobie zaprzeczył, właśnie dlatego, że w istocie rzeczy problem cenzury dotyczył raczej stosunkowo wąskiej grupy ludzi, stosunkowo wąska grupa ludzi wiedziała, jak daleko potrafi sięgnąć cenzura. To dlatego ten 1976 r. nie jest jednak datą przełomową. To, co mogło być ważne dla środowisk uniwersyteckich, i to też nie we wszystkich pewnie szkołach wyższych, było zupełnie nieistotne dla innych środowisk. Raczej zwróciłbym uwagę na problem pojawienia się kultury masowej. To jest tak, że z całą pewnością do Gierka cenzura ma bardzo dużo obowiązków związanych ze zwykłą cenzurą obyczajową. Oni mają nawet specjalne powiadzenie, które sobie ukuli na to – kultura w celofanowym opakowaniu. Co oznacza miazmaty z Zachodu – pornografia, sensacje, filmy wojenne, kryminał, detektywi. To jest zupełnie niezgodne z takim gomułkowskim estetyzmem. Oni to wszystko wyrzucają, tną, pod tym kątem też kontrolują rozmaite przesyłki z Zachodu, a jeżeli ktoś ma założoną jakąś prenumeratę, to wcale niekoniecznie wyrzucają tylko te numery, gdzie są jakieś informacje na temat bloku, które oni uważają za niewłaściwe, ale często wyrzucają także rzeczy obyczajowo niepoprawne. One są zresztą w bardzo ciekawym sprzęgnięciu z tym, co uważają za wolę Kościoła. Na przykład bardzo ciekawe są losy filmów Kena Russela, które oni tną niemiłosiernie, i kiedy jest jakiś moment napięcia między Kościołem a państwem, oni mówią, puszcza my *Diabły* tego reżysera w wąskim obiegu DKF w Warszawie, żeby środowiska klerykalne przekonały się, co się dzieje na Zachodzie i jak dobrze im tutaj. Problem kultury obyczajowej i później pojawienie się kultury masowej na szerszą skalę to jest rzecz w moim przekonaniu bardzo ważna i to ma chyba większe znaczenie. W telewizji pojawia się więcej golizny. Cenzorzy zupełnie nie wiedzą, co z tym zrobić. Są bardzo przejęci, mówią: myśmy to zdjęli, a potem okazało się, że to trzeba było puścić. Mówią też – kazaliśmy zdjąć taki film sensacyjny, bo to jest zwykła gangsterka, oni się tam tylko mordują, zupełnie bez sensu, a potem się okazuje, że on ma iść. Oni pod tym względem rzeczywiście byli zasadniczy. W końcu lat sześćdziesiątych połowa zatrzymanych filmów to dzieła zablokowane z powodów obyczajowych.

**W.B.** – A zatem inną jest rzeczą świat inteligentów...

**A.P.** – ...a inną świat kultury popularnej, która zresztą też posiadała swój drugi obieg. Znam taki przykład. Na maszynie drukarskiej w jakichś zakładach produkcyjnych, przeznaczonych do robienia gazetki zakładowej, pracownicy na lewo tłukli rozmaite rzeczy. Sporządzono protokoły z tego, co

Ocena Naczelnika W  
Ingerencja uzasadniona  
Ingerencja ni  
Podpis

tam znaleziono. Tam są dwie kategorie druków – książeczki do nabożeństwa i pornografia. Bywały drukowane, również nielegalnie, przemówienia Mao Zedonga, ale głównie jest to właśnie pornografia i książeczki do nabożeństwa. Takie było zapotrzebowanie na rynku. Więc w naszej rozmowie nie chciałbym, żebyśmy przeoczyli wtargnięcie kultury masowej.

**W.W.** – To bardzo słuszne, ale nie przeczy to mojej tezie. Produkcja niezależnego słowa po 1976 r., pozacenzuralnego przecież w końcu, sięgała tysiąca tytułów. Tego jest naprawdę bardzo dużo. To jest inna konkurencja, konkurencja treści, idei, wartości, różnych rewindykacji, to nie jest kultura masowa. To jest taka dziewiętnastowieczna rola polskiego inteligenta, który tworząc słowa, widzi się w roli misjonarza społecznego. Ta rola kończy się po 1980 r. i wychodzi to, o czym pan mówi. Równolegle pojawia się kultura masowa, w znacznej mierze elektroniczna. Stosunkowo najmniej o tym wiemy, bo króluje słowo ulotne, elektroniczne, radiowe, telewizyjne i obraz. W 1963 r. telewizja ma milion abonentów, a pod koniec lat siedemdziesiątych jednorazowo przed telewizorem zasiada piętnaście, szesnaście milionów ludzi – jak Jan Paweł II przyjechał z pierwszą pielgrzymką. No i oczywiście opanowanie przez telewizję wsi. Jeszcze pod koniec lat sześćdziesiątych na wsi jest 2 proc. odbiorników telewizyjnych. W latach siedemdziesiątych jest to już zjawisko masowe.

**W.B.** – Tu się pojawił taki ciekawy wątek związku Kościoła i cenzury. Czy hierarchia kościelna uważała, że cenzura państwowa wyręcza ją w pewnych kwestiach, na przykład obyczajowych, czy był taki ostry podział, te struktury z zasady nie mogły współpracować? Czy pan to badał źródłowo?

**A.P.** – Nic takiego nie znalazłem. W archiwach cenzury jest korespondencja z wnioskodawcami. Hierarchowie Kościoła nie korespondowali z Głównym Urzędem Kontroli, ich korespondencja zawsze szła przez Urząd do spraw Wyznań, w ten sposób zachowała się korespondencja Karola Wojtyły, który przez Urząd do spraw Wyznań interweniował w sprawie cięć w jakiejś gazecie archidiecezjalnej. Kościół prowadził negocjacje wyłącznie taką drogą.

**W.B.** – Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy, a warto o tym wspomnieć. Czy rzeczywiście były te słynne interwencje Wielkiego Brata z ambasady? Często się o tym mówiło. Czy to nie był tylko straszak i takie kłamstwo tłumaczące cenzora? „Wicie kolego, chętnie byśmy to puścili, ale towarzysze radzieccy itd.”

**W.W.** – Ja nie zaryzykuję żadnej tezy, znam jednak przykład wtrącania się w prasę, w gazetę. To był Nikołaj Bułganin w 1956 r., który w przemówieniu 22 lipca pozwolił sobie ochrzanić prasę polską. Wyszedł na trybunę i przyłożył, że ona uprawia czarnowidztwo, kapitulancstwo itd. Jego przemówienie było w połowie VII plenum, którego obrady przerwano tylko z ra-

cji święta. Gdy tylko skończył, to zaraz na sali plenarnej skoczyli ci twardzi na wszystkich liberatów partyjnych za to, że oni uprawiają czarnowidztwo. Jeden z nich powiedział – towarzysze, to dziennikarze z „Po prostu” maczali w krwi poznańskich robotników swoje pióra. To oni zapędzili ich na ulicę. To była straszna rozróbka, która pokazuje, jak się kottowało na górze. W takiej sytuacji cenzor przestaje być ważny, a Bułganin wyraźnie powiedział, gdzie jest racja, że trzeba przykręcić śrubę i pogonić towarzystwo.

**T.S.** – Były też zamknięte doktoraty. Roman Korab-Żebryk broni na Uniwersytecie Warszawskim doktoratu o bitwie pod Krawczunami stoczonyj między żołnierzami radzieckimi i akowcami a Niemcami. Nie można było przyjść na tę obronę i postuchać, mimo iż wydawało się, że wszystko było „słuszne”, bo to była bitwa z Niemcami. Obrona była zamknięta, żeby kogoś nie urazić, żeby nie wywołała sensacji, żeby ktoś czegoś nie napisał – nie wiem, z jakiej przyczyny.

**W.B.** – **Była też słynna książka poświęcona Ukraińskiej Powstańczej Armii, która najpierw się pokazała, potem znikła. Bo temat był zastrzeżony dla historyków radzieckich.**

**T.S.** – Była to praca Antoniego Szcześniaka i Wiesława Szoty *Droga donikąd. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i jej likwidacja w Polsce*. Skądinąd bardzo dobra, pokazuje struktury itd. Pracowałem wtedy w Instytucie Historii PAN. Trzeba było się zapisać imieniem, bo ta książka była dostępna w odrębnym obiegu „tylko dla specjalistów”. I przyszło do instytutu dwadzieścia egzemplarzy. Ja bym jej nie cenzurował, ona jest bardzo „słuszna”. Podobnie jak u Jana Gerharda w *Łunach w Bieszczadach* – UPA ma nóż w zębach – ale jest wiele informacji faktycznych o tej organizacji.

**W.B.** – **Czy panów zdaniem można mówić o czymś takim jak trwałe dziedzictwo epoki cenzury w Polsce?**

**A.P.** – Trudno mi znaleźć trwalsze i bardziej straszne dziedzictwo PRL niż biblioteki pełne książek współpisanych przez cenzorów. Te książki w pewnym sensie są niezastąpione, bo nie ma innych. Co więcej – często nie ma już wersji oryginalnych. Trzeba czytać te, które są, a myślę, że wrażliwość na to, co w tych książkach znajduje się między wierszami, jest coraz mniejsza. Prof. Henryk Samsonowicz opowiadał o tym, jak kiedyś pojechał do nauczycieli, gdzieś na tak zwaną prowincję i tam się podzielił jakimiś nowinkami mediewistycznymi. Ci zaczęli z nim polemizować, ale nie to jest straszne, że polemizowali z Samsonowiczem. Rzecz w tym, że powoływali się, jako na ostateczny argument, na książki do historii, których jak się okazało, już ich uczniowie nie używają, bo nie są drukowane, ale ich zdaniem są bardzo dobre w niektórych miejscach. Słowem, machali mu przed nosem książkami z początku lat

GŁÓWNY URZĄD KONTROLI PRASY,  
PUBLIKACJI I WIDOWISK  
ul. Mysia 5  
skr. pocztowa Nr P-32  
00-950 Warszawa

pięćdziesiątych. Widać, że studenci studentami, młode pokolenie młodym pokoleniem, ale poza tym jest ogromna liczba nauczycieli, którzy szerzą wiedzę i nawykowo sięgają do tych a nie do innych książek.

**W.B.** – **Żeby rozumieć zapisy między wierszami, żeby rozumieć poszczególne aluzje, dostrzec przemilczenia czy koncesje na rzecz tej czy innej formy cenzury, trzeba mieć tak naprawdę gigantyczną wiedzę o epoce, o tym, w czym człowiek PRL był zanurzony.**

**T.S.** – Tak, ale żeby ocenić, czy książka prof. X jest książką, na której rzeczywiście można się w tym przypadku oprzeć, to znów trzeba mieć tę wiedzę, której student trzeciego roku nie ma. Na moim seminarium magisterskim obejmującym lata drugiej wojny światowej studenci w swoich pracach szeroko wykorzystywali książki napisane według modelu z 1953 r. (np. prof. Szaflika), ponieważ po pierwsze były one często jedynymi poruszającymi dany problem, a po drugie nie dysponowali wiedzą pozwalającą na odróżnienie popiołu od diamentu.



**Aleksander Pawlicki** – urodzony w 1973 r. nauczyciel historii w Gimnazjum i Liceum Cecylii Plater-Zyberkówny w Warszawie, autor książki *Kompletna szarość. Cenzura 1965–1972: instytucja i ludzie.*



**Tomasz Strzembosz** – urodzony w 1930 r., profesor, historyk Warszawy okresu okupacji i dziejów ziem północno-wschodnich II RP pod okupacją sowiecką (1939–41). Wybrane publikacje: *Oddziały szturmowe konspiracyjnej Warszawy 1939–1944* (rozsypana, 7 lat zatrzymywana w cenzurze), *Akcje zbrojne podziemnej Warszawy 1939–1944* (rozsypana, 4 lata w cenzurze), *Miasto groźne* (1200 str. mps., nigdy nie weszła do obiegu), *Rzeczpospolita Podziemna 1939–1945*, *Saga o »Łupaszcze«* – pptk. Jerzym Dąmbrowskim 1869–1941.



**Wiesław Władyka** – urodzony w 1947 r., profesor historii na Uniwersytecie Warszawskim, autor książek i artykułów o Polsce międzywojennej i o PRL, w tym m.in. *Krew na pierwszej stronie: sensacyjne dzienniki Drugiej Rzeczypospolitej* i *Na czołowiec. Prasa w październiku 1956 roku*. Od 1985 r. związany z redakcją „Polityki”.